CENA 30 GR.

BIULETYN POLSKO-UKRAIŃSKI

·TYGODNIK· ILUSTROWANY·

ROK VI. WARSZAWA, 8 SIERPNIA 1937. Nr. 28 (219)

Kryzys normalizacji

Prawie dwa lata temu, bezpośrednio po zawarciu polsko - ukraińskiego kompromisu wyborczego, który przed całym światem zamanifestował radykalną zmianę we wzajemnym dotychczasowym stosunku pomiędzy odpowiedzialnymi sternikami państwowej polityki polskiej a narodowej polityki ukraińskiej — w owym szczytowym punkcie sukcesu pierwszych konkretnych rozmów polsko - ukraińskich pozwoliliśmy sobie na luksus sceptycyzmu. Nie była to łyżka dziegciu do beczki miodu, nie był to objaw chronicznego defetyzmu, tak charakterystycznego dla nacjonalizmu polskiego i ukraińskiego, z góry nastawionego na fiasko usiłowań porozumiewawczych. Nie, był to tylko dowód naszej realnej oceny sytuacji i naszej znajomości stosunków, psychiki i możliwości obydwu stron. Dziś, po dwuch latach, możemy poszczycić się, że nie omyliliśmy się w ocenie owej historycznej zresztą w dziejach stosunków polsko - ukraińskiej próby: sceptycyzm nasz był najzupełniej usprawiedliwiony, a nasz trzeźwy głos przestrogi przed zbytnim optymizmem był najzupełniej na miejscu. Wówczas owym odezwaniem się swym wywołaliśmy niezadowolenie w pewnych kołach i polskich i (szczególnie) ukraińskich, zainteresowanych w wychwalaniu j u ż osiągniętych korzyści, a niezainteresowanych w budzeniu czujności obydwu społeczeństw, odsuwanych od „normalizacji", prowadzonej wyłącznie drogą rozmów w ścianach gabinetów ministerialnych. Dziś natomiast, gdy nastąpiła chwila próby normalizacji, możemy mieć smutną satysfakcję: nie my myliliśmy się, nie my byliśmy fałszywymi prorokami.

Smutna satysfakcja. Tym smutniejsza, że wszak sprawa, o którą wówczas i dzisiaj chodzi, była i jest sprawą d o b r ą, bardzo dobrą, sprawą, o którą właśnie nasze pismo, nasz zespół polskich i ukraińskich współpracowników szósty rok uparcie, systematycznie, zawzięcie walczy — sprawą, od której, według naszego najgłębszego przekonania, zależy dobro i los dwuch dużych narodów naszych, dobro i los tej części Europy, mającej olbrzymie znaczenie dla losu kultury całego świata chrześcijańskiego. I sprawy tej nie wyrzekliśmy się i nadal, chociaż próba załatwienia jej, zainicjowana przed dwoma laty, na całej linii budzi nasze obawy o jej przyszłość.

Nie ma co do tego żadnej wątpliwości. Ubiegły miesiąc zaznaczył się znowu szeregiem faktów, świadczących o ostrej dyskusji na temat widoków normalizacji. Wprawdzie konferencja krajowa UNDO uchwaliła zaufanie p. Mudremu i Celewiczowi, lecz uchwaliła również rezolucje w swym tonie i treści nie ustępujące rezolucjom z czasów ukraińskiej zasadniczej opozycji. I wprawdzie w rezolucjach tych nie ma końcowego wniosku, że Ukraińska Reprezentacja Parlamentarna przechodzi do opozycji, lecz za to „Diło" rozpoczęło ogłaszanie odpowiedzi na ankietę swą w sprawie normalizacji, a co głos — to o jedną pozycję w ujemnym bilansie więcej. Z drugiej strony w społeczeństwie polskim również nie widać żadnej zmiany w nastrojach niezadowolenia i podrażnienia. W wyniku dwuletniego okresu normalizacji mamy po stronie polskiej jeden wielki głos zbiorowy: „Ukraińcom normalizacja dała siłę, nam słabość" — po stronie zaś ukraińskiej taki sam głos zbiorowy: „Polacy niczego nam nie dali, sami przeciw nam się zmobilizowali, a nas zdemobilizowali".

Ile w tym jest prawdy? Prawdą jest, że Ukraińcy uzyskali dostęp do władz państwowych, którego przedtem nie posiadali i mają świadomość, że mogą się poskarżyć. Lecz nie jest prawdą, że więcej pracują od dwuch lat, aniżeli pracowali przedtem: tylko do owego czasu miejscowi Polacy w ogóle nic o ich pracy nie wiedzieli, a gdy się nią z okazji „normalizacji" zainteresowali, jako „aktualnym tematem" — przestraszyli się, sami bowiem tak nie pracowali i nie pracują. Prawdą jest, że się Polacy konsolidują, lecz i prawdą też jest, że w tym zjawisku, ze wszech miar pochlebnym, za wiele mówi się o niebezpieczeństwie ukraińskim, niebezpieczeństwie ze strony swych współobywateli, deklarujących chęć współżycia i współpracy, a za mało się mówi o niebezpieczeństwie bolszewickim, o śmiertelnej groźbie najbliższej sąsiadki — Moskwy — która w dziejach Polski odegrała smutniejszą rolę, aniżeli nawet ukraiński rok 1918

i wszystkie szaleńcze, przez własne społeczeństwo potępione akty OUN. Prawdą jest też, że miejscowe społeczeństwo polskie ma żal do Rządu, że w tak ważnej, tak zasadniczej sprawie postawił je przed faktem dokonanym, nie motywując nawet potrzeby porozumienia i nie wyłuszczając ani jego bezpośrednich przyczyn, ani programu realizacyjnego — i że tak samo przywódcy ukraińscy, miast wciągnąć do polityki swej jak najszersze sfery społeczeństwa własnego, jak najwięcej jednostek, robili wszystko sami, tę samą taktykę stosując do społeczeństwa polskiego: *nie nawiązując z nim żadnych kontaktów, lekceważąc sobie kontakty stare, nie wykazując żadnych tendencyj ku zjednaniu go sobie, ku traktowaniu go, jako czynnik, który przecie coś w tej materii ma do powiedzenia!*

„Nadmierna ostrożność strony polskiej, nadmierna niecierpliwość strony ukraińskiej" — tak oto formułowaliśmy dwa lata temu obawy nasze, widząc w rozpięciu pomiędzy natarczywością spełnienia pewnych konkretnych żądań, a ociąganiem się od realizacji wyraźnych przyrzeczeń, czy też chociażby mglistych wzmianek o realizacyjnych możliwościach—główne niebezpieczeństwo dla całej akcji pojednawczej. Tak też się stało. Prasa ukraińska wylicza cały szereg kwestyj nieuregulowanych, a rzekomo do załatwienia dojrzałych, lub nawet przyobiecanych. Prasa polska zaś widzi przyczynę do alarmów czasami nawet w rzeczach wyimaginowanych. Oczywiście, że w tej sytuacji jest już naprawdę trudno Rządowi cokolwiek czynić: trudno jest kroczyć drogą przyrzeczeń Ukraińcom, trudno przyrzeczenia realizować, trudno nie liczyć się z własnym zaktywizowanym społeczeństwem, trudno też decyzje Rządu uzależniać od woli organizacyj społecznych, częstokroć ulegających wpływom jednostek wielce niemiarodajnych. Można, co prawda, czekać, co się z tego wykluje, do czego dojrzewający kryzys w wewnętrznych stosunkach ukraińskich doprowadzi. Lecz będzie to znowu czas stracony: znowu stosunki polsko - ukraińskie nie poprawią się, o ile nie pogorszą, między obydwu społeczeństwami znowu pogłębiać się będzie przepaść, a wśród kierowniczych sfer ukraińskich znowu górę uzyskają zwolennicy taktyki „znakomitej izolacji". A korzystać będzie znowu — ten trzeci, nie mityczny, lecz tak realny, tak okropnie bliski, czujny, groźny...

Nie wiemy, czy długo zdołają obecnie przywódcy ukraińscy utrzymać się wraz ze swą taktyką cierpliwości i wiary w ostateczny sukces swej linii. Nie wiemy, czy może oni sami pod naciskiem gwałtownie radykalizującego się społeczeństwa ukraińskiego uderzą w inne tony, też ustąpią miejsca drugim, ponosząc konsekwencje fiaska pewnego okresu, z ich imionami związanego. Nie wiemy, czy ci ewentualni inni zechcą wznowić stare omyłki, które, nie bacząc na nieudaną próbę poprawy stosunków, omyłkami były i powtarzać się nie powinny, czy też zechcą zastosować inne metody pracy. Są to szczegóły tymczasem drugorzędne i jeszcze mało aktualne. *Aktualną natomiast jest kwestia zachowania równowagi ducha i zimnej krwi dla tych wszystkich, którzy — nie biorąc nawet bezpośredniego udziału w normalizacji — są niejako jej duchowymi ojcami i mogą za jej załamanie się zapłacić najdroższą cenę — idei. Chodzi właśnie o to, aby te dwie rzeczy ściśle od siebie odgraniczyć: co innego idea zbliżenia, porozumienia i współpracy polsko - ukraińskiej, a co innego ewentualne nieudanie się tej czy innej próby realizowania tej idei*, próby, która odrazu wykazywała pewne pomyłki z jednej i drugiej strony, fatalne — jak się okazuje — w swych skutkach. Ostateczne i ewent. złe skutki dotyczą jednak jedynie tego *jednego* okresu i tego *jednego* usiłowania, lecz nie mogą obciążać w ogóle samej idei, dyktowanej *przez rację stanu polską i rację narodową ukraińską, przez logikę dziejów Polski i Ukrainy, przez imperatyw historyczny doby obecnej, przez położenie geograficzne obydwu narodów, skład narodowościowy Rzeczypospolitej i przez istnienie wspólnego śmiertelnego wroga.*

I dlatego w momencie, gdy polityka normalizacyjna przeżywa ciężki okres — pismo nasze z całym naciskiem musi podkreślić, że z idei swej nie rezygnuje ani na jotę i że *dziś uważa ideę swą za bardziej aktualną, aniżeli kiedykolwiek.* Przeżywaliśmy już różne okresy — pamiętamy okres masowego „radianofilstwa" u Ukraińców, w innym znowu czasie — masowego adorowania małych i całkiem maleńkich dygnitarzy sowieckich oraz zachwycania się „zdobyczami nowego świata socjalistycznego" — u Polaków. Pamiętamy okres szaleńczych atentatów OUN i „pacyfikacji". Historia stosunków polsko - ukraińskich w zmartwychwstałej Rzeczypospolitej zna przeróżne fazy. Ta czy inna faza normalizacji powiększy tylko ich ilość, lecz nie zdoła trwale zawrócić do czasów, gdy za przerzucanie kładki nad przepaścią, dzielącą obydwa narody, groził ostracyzm, lub nawet terror. Minęły czasy, gdy wystarczał zarzut, że na Głowę Państwa głosowały mniejszości narodowe — aby Go zgładzić z tego świata, a otrzymanie miana „zdrajcy" za to, że się mówiło z Polakami (Ukraińcami), było u Ukraińców (Polaków) samo przez się zrozumiałą sprawą.

I dlatego nie smucimy się zbytnio w okresie próby, stojącej przed normalizacją. My propagujemy prawdziwą, istotną poprawę stosunków, trwałą, głęboką, mądrą, racjonalną, sprawiedliwą. I propagować ją będziemy nadal, głęboko wierząc, że taki stan rzeczy nastąpi. Ponieważ nie wierząc w to — musielibyśmy stracić wiarę w mądrość i zdrowy instynkt Narodu, obu narodów i uwierzyć w ich skłonności samobójcze.

Casus poseł Żyborski

Nie będziemy przytaczać znanych powszechnie szczegółów sprawy [1]). Bezsensowna, sporządzona na kolanie, ordynarna w swej wulgarnej treści „ukraińska odezwa antypolska" znalazła się w rękach posła Żyborskiego (jej twórca i dostawca muszą chyba pójść do więzienia?). I... tu dopiero zaczyna się właściwa sprawa. Każdy na miejscu p. posła Żyborskiego albo cisnąłby prowokatorski świstek do kosza, albo przekazałby całą sprawę władzom bezpieczeństwa.

[1]) O bezpodstawności „faktów" zawartych w „odezwie" a tym samym w interpelacji p. Ż. przekonają się nasi czytelnicy z przytoczonego w przeglądzie prasy ukraińskiej listu adwokata Jaworskiego w „Dile" z dn. 30-VII.b. r..

Lecz stało się inaczej. Coś przesłoniło jasność wzroku p. Ż., coś popchnęło go do wystąpienia sensacyjnego, do wybryku nieomal. Cóż to sprowadziło p. Ż. z drogi rozwagi na „manowce" trybuny sejmowej z nieszczęsnym świstkiem w ręku?

Jest to jaskrawa nieufność, zmieszana z ignorancją, powiedzmy skromnie — zagniewanie na Ukraińców, zmieszane z obawą o siłę polskości na południowym wschodzie Rzeczypospolitej, obawą żywioną przez gorącego patriotę polskiego. Lecz w tym wypadku powstaje pytanie, jak to może być, aby te wszystkie uczucia, w swym założeniu bynajmniej człowieka i jego czystości ideowej nie dyskwalifikujące, *owszem, nawet częstokroć usprawiedliwione*, wyjąwszy ignorancję (sancta simplicitas?) mogły zrodzić tak przykrą sytuację? Czy możliwe jest, aby uczucia, wśród których dominuje gorący patriotyzm i z pewnością dobra wola, zrodziły tak wątpliwej wartości owoc?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w bajce o niedźwiedziu, który pragnąc śpiącemu przyjacielowi zapewnić spokojny sen, ciężkim kamieniem ugodził w... muchę siedzącą na jego czole.

Ten ordynarny przykład „kładzie łopatą do głowy", pokazuje jak na dłoni całe niebezpieczeństwo dobrej woli, niewspartej rozwagą, *tragiczne skutki obnażonego patriotyzmu, w którym zbyt dużo jest obaw i gniewu, zbyt mało myśli pozytywnych i konstruktywnych*. Przykład ten mówi nam o ogromnym niebezpieczeństwie samotnego jeno uczucia obawy, w danym wypadku obawy przed „zalewem ukraińskim", przed utraceniem dotychczasowej pozycji Polski na poł. wschodzie Rzplitej. Same te obawy, jak widzimy na przykładzie p. Ż., mogą być nawet *destrukcyjne*. Lecz mało tego, są one w swej dalszej konsekwencji *samobójcze* i w tym charakterze zbliżają nas wcale blisko do przykładu z niedźwiedziem, mordującym swego przyjaciela.

Casus p. Ż. nie skończył się bowiem na kwaśnych minach p. p. dwuch czy dwustu posłów i senatorów, na nieprzespanej nocy wice-marszałka Mudrego i nawet szerszego grona polityków. Oto bowiem z lekkiej ręki p. Ż. jego interpelacja wraz z *in extenso* przytoczoną „odezwą", sprokurowaną w jakiejś chyba jaczejce KPZU, została przedrukowana przez IKC, Dziennik Polski i całą serię innych pism i dzienników polskich i ukraińskich. Jej treść, pomijając błędy i nonsensy, mówiące o Lachach i okupacji, dotarła w ten sposób do najdalszych zakątków Podlasia, Łemkowszczyzny, Polesia i Białorusi. Jej treść stała się dostępna dla ukraińskich dozorców we Lwowie, dotarła do służących, do młodzieży szkolnej ukraińskiej itd.. Można z całą pewnością powiedzieć, że od czasów wojny polsko - sowieckiej żadna agitka antypolska nie była tak świetnie, zarazem tak tanio (bo przy pomocy aparatu propagandowego wroga) rozkolportowana, podana do wiadomości i małych i wielkich, bogatych i ubogich. I tu właśnie, w tej sytuacji, tkwi samobójczy element omawianego i jemu podobnych wypadków.

Ignorancja, bezgraniczna nieufność, mania prześladowcza na tle „ukraińskiego niebezpieczeństwa" oraz lektura p. p. Rojków, Gertychów i Romerów a nawet profesorów Grabskich czy Głąbińskich, nawet w wypadku reprezentowania przez delikwenta najlepszej woli a nawet najczystszego patriotyzmu, są złymi doradcami, niekiedy prowadzą do samobójczych, niedźwiedzich przysług.

Pod adresem takich sytuacyj jak omawiana, pod adresem p. Żyborskiego i jemu podobnych, woła od zarania swej niepodległości Polska: „strzeż mię Panie Boże od (takich) przyjaciół, bo z wrogami (stokroć gorszymi od OUN i „partii ukraińskiej") sama dam sobie radę".

*

Casus Żyborski nie jest jednak wydarzeniem oderwanym. Jest to symptomat głębokiej choroby, może zbyt prostacki i dlatego uchwycony przez najdalej nawet stojących obserwatorów. Tragedia stosunków polsko - ukraińskich polega na tym, że podobnych „interpelacyj" mamy dziesiątki jeśli nie setki. Podobne „interpelacje" wobec „sejmu" opinii polskiej składa parę razy na miesiąc osławiony IKC i szereg piśmideł czy innych niedźwiedzi społecznych.

Nie jest oczywiście lepiej i po stronie ukraińskiej. Takie same interpelacje składa strona ukraińska również na każdym kroku, z tą jeno różnicą, że postępuje ostrożniej, bardziej się woaluje, w obawie przed represjami.

Casus Żyborski winien wzmocnić nasze intuicyjne wyczucie gdzie i kiedy spod zwału ładnych patriotycznych frazesów i apelów o ratowaniu zagrożonej ojczyzny wyziera kawał cegły we włochatej niedźwiedziej łapie.

Jurij Naumenko

Kwestia ukraińska i Ukraińcy na tle wyprawy kijowskiej

(Dokończenie)

Jak przedstawia się udział wojsk ukraińskich w wyprawie kijowskiej? Musimy stwierdzić, że udział ten był na ogół bardzo nikły. Przyznaje to i autor książki, chociaż twierdzi, że okoliczność ta ma znaczenie jedynie dla polityków i wojskowych nie wnikających w istotę problematu (str. 81). Czy tak?

Naszym zdaniem, jak najszerszy udział wojsk ukraińskich w pochodzie na Kijów był ze wszech miar pożądany zarówno ze względów wojskowych, jak też (może nawet jeszcze bardziej) politycznych. Nie można zapominać, że okupacja wojskowa, jaka by ona nie była, jest zawsze *okupacją*, bez względu na to, czy wykonywa ją armia wroga, czy sojusznicza. Żołnierz, nawet najkarniejszy, czuje się inaczej na swej ziemi, a inaczej na ziemi obcej, nie mówiąc już o tym, że wszystkie posunięcia u góry, zmierzające do złagodzenia reżymu okupacyjnego, nie zawsze są rozumiane i trafiają do przekonania podwładnych, szczególnie najniższych stopni, a nie sposób przecież dopilnować wykonania wszystkich zarządzeń, tym bardziej kiedy te zarządzenia wydawane są na skutek przesłanek politycznych, przeważnie niezrozumiałych nie tylko dla masy żołnierskiej, ale i dla dowódców niższych szczebli. Nie zapominajmy również i o rozpowszechnionych poglą-

dach endecji na kwestię ukraińską, poglądach, które napewnó nie były obce i dla części wojskowych. No i zjawienie się wślad za wojskiem przedstawicieli własności ziemskiej (właścicieli majątków, rządców, ekonomów), nie ukrywających bynajmniej zamiarów rewindykacyjnych, zaczynało budzić reminiscencje z okresu okupacji niemieckiej i rządów hetmana Skoropadskiego. Wszystko to razem, mimo dobrych chęci „góry", stwarzało pewną „atmosferę okupacyjną", co było na rękę wciąż działającej, chociaż i z ukrycia, agitacji bolszewickiej.

Rozumiano to widocznie w Dow. Nacz., o czym świadczy rozkaz z dn. 8.V.20 r., w którym czytamy: „w interesie polskim leży jak najszybsze wycofanie wojsk własnych z terenów zajętych i ustalenie dobrych sąsiedzkich stosunków z nowopowstałym państwem ukraińskim. Okupacja polska Ukrainy musi być rozrachowana nie na lata, ale na miesiące.. Im mniej będzie podczas wspólnej z władzami ukraińskimi pracy tarć i zadraśnięć, tym łatwiej ostateczny cel Polski będzie osiągnięty" (str. 57).

Otóż, pod tym względem była pożądana obecność razem z wojskiem polskim jak największej ilości formacyj ukraińskich, żeby stworzyć — jako przeciwwagę „atmosferze okupacyjnej" — wrażenie „atmosfery sojuszniczej".

Nie doszukujemy się przyczyn na ogół znikomego udziału wojsk ukraińskich w operacji kijowskiej; zresztą i autor „Wyprawy" o tych przyczynach mówi bardzo ogólnikowo i źródeł ich nie wyjaśnia. Stwierdzamy tylko stan faktyczny. Art. 12 konwencji wojskowej zobowiązywał Dow. Nacz. dostarczyć broni i sprzętu dla trzech dywizyj ukraińskich, wedle etatów dyw. polskich. Art. 11 zaznaczał, że na terenach Polski w dalszym ciągu kontynuowana jest organizacja oddziałów ukr., jak to miało miejsce dotychchzas w Brześciu, aż do czasu, kiedy ta organizacja będzie możliwa na własnym terenie. Taka pomoc dla armii ukraińskiej była niezbędna, bo utraciwszy teren jeszcze w grudniu 1919 r., armia ta nie posiadała absolutnie zapasów sprzętu i amunicji. Nie posiadał również żadnych środków finansowych rząd S. Petlury, przebywający częściowo na emigracji w Polsce, a częściowo w stanie zakonspirowanym na okupowanej przez bolszewików Ukrainie.

Rzeczywiście, jeszcze w trakcie rokowań polsko-ukraińskich przystąpiono do formowania w Brześciu 6. dyw. ukraińskiej. Przed rozpoczęciem ofensywy 25.IV, w trakcie formowania, zabrano ją bliżej frontu do Szepietówki, ale w ofensywie udziału ona nie brała. Inną dywizję, 2-gą, formowano na froncie, na skrajnym prawym skrzydle 6. armii polskiej w rejonie Mohylewa Pod. Siłą rzeczy, będąc daleko od teatru wyprawy kijowskiej, nie mogła ona brać udziału w tych walkach, bo zajmowała pewien odcinek frontu koło Dniestru. Stan fizyczny tych oddziałów był średni, gdyż duża część kozaków w zimie chorowała na tyfus. Pod względem uposażenia w sprzęt panowały duże braki: mała ilość dział i karabinów maszynowych. (str. 82).

Była jeszcze grupa gen. Pawlenki, ale ta wtenczas znajdowała się na tyłach bolszewików (połączyła się z armią polską w rejonie Mohylewa Pod. 5.V.20 r.) i nie można było wtedy wiedzieć, czy i kiedy przebije się ona przez front czerwonych. Zatem, trzy dywizje, o których była mowa w konwencji, miały być widocznie formowane na nowo. Jednak, po wymarszu 6. dyw. ukr. z Brześcia nie podjęto formowania dalszych oddziałów, a i formowanie 6. dyw. zaczęło się widocznie za późno (chociaż pochód na Ukrainę przygotowywany był już od dawna, no i były dane, że ugoda polsko-ukraińska dojdzie do skutku), bo stan liczebny jej był minimalny (10% normalnych), nie mówiąc o zupełnym braku służb i taborów.

Z zajęciem Kijowa przez wojska polskie powstała dość paradoksalna sytuacja: — na prawym skrzydle frontu ukraińskiego zajmowała odcinek do 30 km armia gen. Pawlenki, do której składu weszła i wspomniana wyżej 2. dyw. ukr., a na całym olbrzymim obszarze zajętym przez 6, 2 i 3 armie polskie znajdowała się (w Kijowie) jedyna 6. dyw. ukr. A formowanie nawet tej jedynej dyw. (nie mówiąc już o dwóch innych przewidzianych w konwencji) szło opornie. Autor „Wyprawy" przyznaje, że „dostawy materiału i sprzętu dla nich szły — uwzględniając nawet posiadane trudności — za powolnie, hamując pożądany szybki rozwój wojska ukraińskiego" — (str. 82). Na dz. 13.V 6. dyw. miała tylko równowartość 2. polskich baonów, 2 szwadr. i 2 bateryj (str. 122). Planowana była wprawdzie rekrutacja (str. 122), ale w formie przyjmowania ochotników, co w takim dużym mieście, jak Kijów, dopiero co opuszczonym przez czerwonych, mogło dać dużo elementu bolszewickiego (szpiegów i prowokatorów). Zrezygnowano wtedy z szerokiej rekrutacji w mieście, przyjmując ochotników w ograniczonej ilości. Dla rekrutacji elementu wiejskiego, mniej zatrutego wpływami bolszewickimi, trzeba było uruchomić cały aparat administracyjno-propagandowy, co nie leżało w zakresie możliwości d-wa 6. dyw. ukr.

Już w ciągu pierwszych dni ofensywy wyłoniła się jeszcze jedna kwestia o charakterze dość drażliwym. Mianowicie, poddała się dobrowolnie kawalerii 3. armii polskiej brygada halicka; tak samo poddały się wojskom 6. armii dwie brygady halickie — wszystkie razem w sile 11.000 ludzi i 44 dział (str. 99). Miało to nie małe znaczenie wojskowe, gdyż XIV armia sowiecka uległa głównie wskutek tego poddania się (str. 100).

Tych 11.000 ludzi było gotowym materiałem dla uzupełnienia już istniejących formacyj ukraińskich i mających kadry z Ukraińców naddnieprzańskich. Można było wprawdzie mieć wątpliwości co do ich wojskowego „morale", bo kolejne wędrówki od armii ukraińskiej do Denikina, a stamtąd do bolszewików, nie przyczyniały się do większego zaufania w stosunku do b. żołnierzy armii halickiej. Jednak fakt, że złożyli oni broń dobrowolnie, mając przecież możność wycofania się wraz z wojskami czerwonymi, świadczył chyba o tym, że doświadczenie z czerwonymi miało swój skutek i nie poszło na marne. Można się było spodziewać, że będąc wcielonymi do formacyj ukraińskich już działających na terenach Ukrainy, będą niezłym materiałem bojowym, bo innego wyjścia, poza oczywiście polskimi obozami dla jeńców wojennych, nie mieli. Odstawiono ich jednak właśnie do obozów jeńców. Był to błąd zarówno z punktu widzenia interesów wojskowych, jak i politycznych, bo zrezygnowano z wyćwiczonego materiału ludzkiego, a spowodowano rozgoryczenie wśród tych, którzy przekonali się o niebezpieczeństwie kooperacji z Rosją, obojętne jaką, białą czy czerwoną.

W tym samym czasie starano się, ze szkodą właściwie dla interesów wojskowych, utrzymać Kijów poza sferą oddziaływania przeciwnika, jako ośrodek polityczny Ukrainy, tracąc na utrzymanie rozległego przyczółka kijowskiego znaczne siły polskie — (str. 123). Brak sił dawał się odczuć i na innych odcinkach; w czasie ofensywy była rozpatrywana ewentualność marszu na Odessę, bo chodziło o zdobycze terytorialne i polityczne uzyskane przez Ukraińców (str. 50), ale już w maju plan tej ofensywy zostaje definitywnie zarzucony (str. 118). W dniach najgroźniejszych dla Kijowa (początek czerwca 1920), kiedy najbardziej dawał się we znaki brak odwodów, 6. dyw. ukr. w ówczesnej fazie organizacji niezdolna była jeszcze do walki ruchomej w oddaleniu od podstawy kijowskiej. Liczyła ona do 1800 bagn., ale posiadała tylko 6 dział, nie miała żadnych urządzeń, służb, taborów (str. 154). Miała armia polska poniekąd pomoc ze strony powstańców ukraińskich na tyłach wojsk sowieckich, szczególnie

przed frontem 6. armii (str. 160), ale ta pomoc decydującego wpływu na akcję wywrzeć nie mogła. Na prawym skrzydle 6 armii znajdowała się teraz armia ukraińska gen. Pawłenki, ale jej stan liczebny stanowił siłę brygady polskiej (str. 170) i tam też sprawa mobilizacji i ekwipunku nie posunęła się naprzód z bliżej nieznanych powodów.

1.VI.20 r. front polski został definitywnie przerwany przez armię konną Budiennego, a 11.VI. Kijów został opuszczony przez wojska polskie. W tych dniach, kiedy d-wo 6 armii zdecydowane było jeszcze nie opuszczać Kijowa i, mimo wyjścia kawalerii Budiennego na tyły armii, zamknąć się w trójkącie Dniepr — Irpeń — Stugna i czekać tam na odsiecz, 6. dyw. ukr. została skierowana już na odcinek bojowy (str. 193), a w czasie odwrotu posuwa się ona w sąsiedztwie z 1. dyw. leg., ale również bez działań bojowych z przeciwnikiem.

Pozornie mało znaczący fakt niesformowania na czas dywizyj ukraińskich urasta jednak, w okolicznościach towarzyszących przerwaniu frontu polskiego przez jazdę Budiennego, do rozmiarów poważnych. Zabrakło wtedy co najwyżej dwóch dywizyj, żeby akcję Budiennego zlikwidować i zatrzymać tak konieczne dla stabilizacji nowopowstałej Ukrainy tereny. Nie było, niestety, skąd je wziąć, bo i te odwody, którymi dotąd dysponowało d-wo 3. armii i d-wo frontu ukraińskiego, poszły przeważnie na północ dla likwidacji porażki 1. armii. Stałyby wtedy w odwodzie dywizje ukraińskie, gdyby się postarano na czas je sformować.

Powstaje pytanie, czy Ukraińcy mieli dość czasu, żeby się sformować, czy też zbyt mało? Licząc od początku ofensywy do wyjścia z Kijowa minęło całych 6 tygodni. Nie był to czas ani za krótki, ani za długi. W warunkach normalnych, mając dość terenu pod swoją władzę, Ukraińcy mogliby wykorzystać go dla znacznego zwiększenia swej armii, powołując pod broń 1 — 2 roczniki, pod warunkiem wystarczającej ilości sprzętu wojennego, ale właśnie „materiałowe dostawy polskie opóźniały się" — (str. 254).

Werbunek ochotniczy, rzeczywiście, odbywał się powoli, ale i to się działo na skutek okoliczności od d-wa armii ukraińskiej niezależnych. Pod bezpośrednim zarządem władz wojskowych ukraińskich była stosunkowo nieduża część kraju leżąca poza frontem armii gen. Pawłenki długości koło 30 km, a głęboka do 100 km (od linii Zbrucza do Jarugi). Ludność tego terenu, to pod względem wojskowym element mało wartościowy i dla uzupełnienia armii drogą werbunku ochotniczego niezbyt się nadawała. Dla tego celu trzeba by było wyjść na szerokie pola Chersońszczyzny (kierunek na Odessę). Obszar kijowski, znajdujący się pod zarządem polskich władz wojskowych, przedstawiający olbrzymi rezerwuar resursów ludzkich, mógłby służyć dla werbunku do dywizyj, które miały być sformowane i wyekwipowane na mocy konwencji wojskowej. Ale i tam werbunek ochotniczy na dłuższą metę nie mógłby się utrzymać. Doświadczenie dotychczasowe pokazało, że bez mobilizacji pewnej liczby roczników obejść się nie można; zresztą i Polska, po wyjściu okupantów z jej terenów, niedługo mogła zadowolić się werbunkiem ochotniczym i musiała przejść do systemu poboru rekruta i powołania pod broń całych roczników.

Otóż, reasumując, czasu było zarazem i dość (dla sformowania trzech dywizyj ukr. na mocy konwencji) i za mało (dla armii gen. Pawłenki, zmęczonej 5-miesięczną partyzantką i nie posiadającej dużego aparatu administracyjnego). W rezultacie, gdy Polacy musieli Ukrainę opuszczać, armia ukraińska była dopiero w trakcie powstawania (str. 255).

Jednak, pomimo tych przeszkód w formowaniu, armia ukraińska swą rolę odegrała, ale już po zakończeniu właściwej „Wyprawy kijowskiej". Wiemy, że odchodziła broniąc każdej piędzi ziemi, później zajmowała duży odcinek frontu od granicy rumuńskiej prawie po Mikołajów wzdłuż Dniestru, i to w czasie najcięższych chwil pod Warszawą, wytrzymała napór Budiennego pod Zamościem i nie puściła go dalej na zachód (6. dyw.) i wreszcie brała udział w ponownej ofensywie, wykonując zręczny marsz - manewr z nad Dniestru aż do Żmerynki i Mohylewa.

Stwierdza zresztaą i autor „Wyprawy kijowskiej" (str. 304), że „wojska ukraińskie biły się wzorowo: czy na terenach rodzimej Ukrainy, czy pod Zamościem, czy oparte o ramię polskie, czy też samodzielnie, wojska te spełniły swój dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek wykonywania powierzonych im zadań."

Czesław Jastrzębiec - Kozłowski

Spojrzenie w zaświaty

Ot ty mówisz o tym samym spirytyźmi. To ja tym bardzo interesui si, jowszem. I nawet mogi rozpowiedzić tobi ciekawo rzecz na te konto.

Ży ja urodziłem si i wychowałem si w Kijowie, to ty już wisz. Jak to ty nie wisz! Jaż tobi mówiłem sto razy, jak nie więcyj. Prawda i to, ży jak ja tobi coś rozpowiadam, to dla ciebi to wszystko równo, jakby krowa ryczała. Nu, mniejsza z tym. Słuchajżeż teraz uważni, bo to doprawdy ciekawy rzeczy.

Było to lat temu nazad ze trzydzieście. Ja wtedy byłem młodym człowiekiem, lat dwudziestu pięciu czy sześciu. Brałem pensyjki niewielko, ale żyło si mnie jako siako, bo biedy, bo jeszcze byłem nie żonaty, i w ogóli prowadziłem si dosyć skromnym kawalerem. I ty nie myśl, że ja byłem zruszczony, dlatego że służyłem na kolei w Rośji. Wcali nie. Ży wymowa u mnie nie zupełni taka jak tutaj w Warszawi, to jeszcze nic nie znaczy. Ty wisz, jak my modliliśmy si? „Pani Boży, zmiłuj si nad nami Polakami, a nad Ruskimi jak chcesz, ali lepij nie". Cha, cha! Nu, to ja, rozumi si, tak sobi, dla śmiechu. Ali oprócz żartów, my byliśmy dobrzy patrioci, dai tobi słowo.

Oteż siedzy ja sobie kiedyś w swoim pokoju na Funduklejowskij ulicy, bo ja tam wtedy mieszkałem, czytam jakoś gazetki, pii herbaty, pali papierosa, aż tu raptem słyszy dzwónek. Ktoż to mozy być taki? myśli ja sobi. Idy, otwieram, okazui si — Kazio Baranowicz, mój kolega jeszcze z gimnażjum. Nu, dzień dobry, dzień dobry, kopa lat, dawno my nie widzieliśmy si, co u ciebi słychać, a u ciebi co — i tak dalij. A potem ten Baranowicz mówi do mne:

— Zaszłem ja do ciebi, żebyś ty ze mno szedł. Bierz czapki na łeb i chodź. Kościum na tobi zupełni przyzwoity, więc możesz nie przebierać si.

— Nu dobrze, mówi ja do niego, ali dzież ty mnie chcesz prowadzić?

— Jak ja tobi mówi chodź, to znaczy si chodź i już. Potem powim tobi wszystko, jak si należy.

Nu dobrze. Wychodzimy. Kościum mój był rzeczywiście porzonny, taki wisz czyściutki, choć niedrogi, bo ja ubranie bardzo szanowałem. Paltotu nie nałożyłem, bo wieczór był ciepły, taki wisz ukraiński, nie to co tutaj. Ja tutaj nigdy nie wim, jaka to jest pora roku. Latem zimno, zimowo poro ciepło, ciągle lei deszcz albo „dżdża", jak oni mówio przez radio. Tyj „dżdży" to nawet wymówić ni ma sposobu, a nie dopiro znieść, jak ona lei si tobi za kołnierz.

Nu dobrze. Znaczy si idziemy. A w drodzy pytam si ja tego Baranowicza:

— Aliż powidz ty mnie nareszci, dzie my idziemy?

— A idziemy my, kochany Stasio ,do znakomitego medium.

— Nu a ktoż on taki będzie, ten sam medium? pytam si ja jego.

— Przede wszystkim nie on, a ona, bo medium jest kobieta.

— Nu braci, przepraszam ciebi bardzo, ali iść do kobiety to ja nie mam żadnyj najmniejszyj ochoty. A żeliby nawet, broń Boży, to w każdym razi nie z tobo w kompanii.

— Aliż ty mnie nie zrozumiałeś, mówi Kazio. To wcali nie taka kobieta jak ty myślisz. Medium to znaczy si, że traci zeznanie i wtedy przez nio mówio różny duchi.

— Znaczy si — trans?

— A, to ja widzy, że ty troszki o tym słyszałeś. To dobrze. Nu właśni, ten sam trans i jest.

Przychodzimy, Kazio nacisnął dzwonek, otwiera nam lokaj, bardzo porzonnie ubrany. Baranowicz pyta si jego:

— Nu co tam pani? Jest w domu?

— A jakżeż, mówi lokaj, jest. Jaśni pani czeka na panów w saloni.

Ja uśmiechnąłem si i myśli sobi: „Nu, ciekawy ja jestem, jaka to ty jasna pani!" Wchodzimy do tego salonu, i ja nawet zdziwiłem si. Ehehe, myśli sobi, toż to zupełni nie to, co ja myślałem. Ja myślałem, że to wisz taka kabalarka będzi, co to za pół rubla wróży tobi przyszłość i przeszłość. A tu dzież tam! Salon, że proszy siadać. Taki różowy atłas na mebelkach, różny te pufy, kuszetki, kozetki — jednym słowym zupełni po pańsku. A na foteliku siedzi taka przystojna pani, lat ze czterdziestu, ali jeszcze zupełni niczego sobi. Baranowicz zarekomendował nas: Stanisław Lipiński, pani Bielska; a ona mówi:

— Bardzo mnie przyjemni poznań pańskiego kolegi.

— I jemu także bardzo przyjemni, mówi Kazio, poznać taki znakomity medium. Ali nie traćmy czasu, róbmy seans. Zostawimy tylko jedno lampy, pani Bielska siądzie na kuszetce, a my koło nij, weźmiemy jo za ręcy, ja za jedno, ty za drugo, i będziemy puszczać w nio fluid.

Jak on powiedział, tak my i zrobiliśmy. Siedzimy prawie po ciemku, a ten Baranowicz pyta si mnie:

— Nu co? Czuisz w sobi fluid?

— Nie, mówi ja do niego, powim tobi prawdy, ży żadnego fluidu ni czui.

— Nu a iskry pod sufitem widzisz?

— Iskry widzy.

— Nu, na pierwszy raz dobrzy i to. A jak tylko poczuisz fluid, to zaraz puszczaj jego w nio, ot tak jak ja.

Pani Bielska zamknęła oczy. Posiedzieliśmy my tak z kilka minut, a nareszci ona mówi:

— Ja już śpię.

To ja si nawet roześmiałem i mówi do tego Baranowicza:

— Nu wisz Kazio, pierwszy raz w życiu słyszy, żeby ktoś sam o sobi mówił, ży śpi!

— Toż na to jest i trans mówi Kazio. A teraz możemy już wyzywać duchi. Jakiego ducha chcesz, takiego wyzywaj.

— Nu, mówi ja, niechaj będzi choć Napolion.

Przeszło z kilka sekund i raptem pani Bielska mówi, ali wisz takim nieprzyjemnym głosem:

— Jestem, ja, Napolion Pierwszy, cesarz Francuzów. I widząc, że wy jesteście dobrzy patrioci, powim wom bardzo przyjemno wiadomość. Nie przejdzi dwadzieścia lat, jak Polska zmartwychwstani i odzyska swojo niepodległość.

— Nu, chwała Bogu, chwała Bogu, westchnęli my oba i nawet wzruszyli si. A któż to ma pobić Rośji?

— To ja już ni mam prawa wam powiedzić, mówi ten niby to Napolion. Ali to widzy, że zbliża si tutaj jakiś duch, i to jest twój ojciec, Stanisław i Lipiński.

— Nu a czegóż on ode mnie chce?

— Chce, żebyś ty o nim pamiętał.

— A chibaż ja o nim nie pamiętam? Każdy miesiąc jaż jemu najakuratnij wysyłam piętnaście rubli, to czegóż jemu jeszcze potrzeba?

— Ot tobi na! mówi ten Baranowicz. To twój ojciec żyi? Czegóż ty odrazu nie powiedziałeś?

— Nu, znaczy si dziad, mówi ten Napolion.

— I dziad także żyi, chwała Bogu, i czerstwo trzyma si.

— Nu, jak nie dziad, to pradziad. Nie wszystko tam jedno! Jednym słowym, bardzo podobny do ciebi, tylko taki stary, siwiuteńki.

— Nu, bardzo stary to on nie był, bo umarł trzydziestu lat, i to więcyj od nieszczęśliwego wypadku, bo jego koń machnął w brzuch kopytem. Od tego i umarł.

— Nu, mówi ten niby Napolion, kłócić si z wami na te konto to ja ni mam najmniejszyj ochoty. Abo wy mnie wierzyci, abo ja mogi zaraz zniknąć.

Ja nawet trochi rozgniewałem si i mówi:

— Co do tego, żeby pan zniknął, to ja ni mam nic przeciw tego. I prawdy powiedziałszy, to ja ani jedny chwili nie powierzyłem, żeby pan doprawdy był Napolion. Ot, pani Bielska mówi sobi brzuchem i już.

— Nu, Stasio, mówi ten Baranowicz, to ty już powiedziałeś zupełni głupio. Nie w brzuchu rzecz, a w tym, że duchi nie majo swojij własnyj substańcji, więc używajo organizm pani Bielskij. Dajminato, że ty zachorowałeś i ni masz głosu, a tu przychodzi do ciebi przyjaciel i on nic nie słyszy, co ty mówisz. A koło ciebi siedzi, powidzmy, twoja żona, słucha, co ty szepczesz i powtarza temu gościu. Nu to czyim głosem ona mówi: twoim czy swoim?

— Rozumi si, ży swoim.

— Nu ot tak samo i tutaj. A teraz chcesz, to wyzywajmy jeszcze jakiego ducha

— Dobrze, mówi ja do niego. To niechaj teraz będzi jakiś matematyk, bo mnie bardzo interesui jedne zadani matematyczny.

— A kogóż ty najwięcyj chciałbyś?

— Nu, niech będzie choćby Śniadecki.

Baranowicz jego wyzwał, i za chwilki pani Bielska mówi:

— Jestem.

— Śniadecki? pyta si Kazio.

— On sam. A w czym rzecz?

— Proszy pana, mówi ja do niego, ja chcę kupić bilet na loterii, to proszy mnie powiedzić, jaki numer?

— A iliż ty chesz wygrać? pyta si ten niby to Śniadecki.

Ja si zaśmiałem i mówi:

— Nu, rozumi si, czym więcyj, tym lepij, ali jak wygram dajmy na to dwadzieścia pięć rubli, to także płakać nie będy.

— Dobrzy, mówi on. Kupuj numer 13—13—13.

A tymczasem ten Baranowicz mówi:

— Nu, na pierwszy raz będzie z nas. Trzeba już budzić pani Bielsko, bo to jo straszni wyczerpui.

Podmuchał on jij na oczy i ona obudziła si, tylko patrzy jakimś wisz błędnym wzrokiem, i pyta si nas:

— Nu, co? Byli jaki duchi?

— Jowszem, mówi Baranowicz, byli Napolion i Śniadecki.

— Nu i jeszcze był pradziad, dodai ja. Tylko ży z tym pradziadem, to jakoś nie tego. Nie bardzo.

— Durny ty! mówi do mni Kazio. Ty myślisz, że jak Napolion umarł, to już musi absolutni wszystko wiedzić. I on moży si mylić. Czemu nie. Nu ali teraz trzeba już podziękować pani Bielskij i nie fatygować jij więcyj. Proszy pani, a możemy my jeszcze kiedy przyjść?

— Nu, rozumi si! Mnie będzi bardzo przyjemni. Przyjdźci panowi choć we czwartek.

— Nu, podziękowali my jij, pocałowali w rączki, i ja wyszłem, a ten Baranowicz jeszcze został z nio pogadać. Ja po drodzy zaszłem do ławeczki i napiłem si za pięć kopijek kwasu klukwowego, bo czegoś strasznie si mnie zachciało po tym wszystkim pić. A potem poszłem do loterii i kupiłem bilet numer 13—13—13. A to był ostatni czas, bo na drugi dzień był tiraż. Nu i cóż ty myślisz? Na tzreci dzień czytam ja w gazetce, ży bilet numer 13—13—13 wygrał dwadzieścia pięć rubli. Ot istoria! Ucieszyłem si bardzo, bo i korzyść materialna, a grunt, ży od razu zrozumiałem ży to doprawdy byli Napolion i Śniadecki. Nu prawda, ży z tym moim dziadem to wyszła jakaś zakowyka... Hm...

W czwartek to ja już sam zaszłem po Baranowicza i razem idziemy. Przychodzimy, dzwonimy, otwiera pokojówka. Nu, dziewczyna, to dziewczyna — nam jeszcze lepij. Cha, cha! Ali to ja rozumi si tylko dla żartów, bo co mnie do czyijś służącyj. Tak mnie z nio jak i bez nij. Idziemy do salonu, witamy si, a pani Bielska pyta si nas:

— Nu, co słychać?

— Dobrze słychać! mówi ja do nij. Zrobił si cud. Proszy sobi wyobrazić, że ja wygrałem na ten numer.

— Na jaki numer? pyta si ona.

— Nu na ten, których mnie poradził Śniadecki.

— A, to mnie bardzo przyjemni.

To ja spytałem si cicho tego Baranowicza: „Słuchaj, kochany Kazio, moży trzeba było przynieść jij choć jakich czekoladek, czy co?"

— Aliż broń Boży! mówi on. Ona by si jeszcze obraziła na ciebi. Nu, nie zbawiajmy czasu.

I znów posadzili my jo na kozetce i znów wzięli za ręcy, a Kazio mówi do mnie:

— Nu co? Czuisz fluid?

— Czui, mówi ja. Najwyraźniej czui. Niby to jakby tok elektryczny.

— Ot to to ono samo i jest! ucieszył si Kazio. Doskonali. Znaczy si, że ty robisz postępy. Nu to puszczaj ten tok w nio.

Ali raptem słyszymy dzwónek. Pani Bielska jeszcze nie zasnęła, więc woła:

— Paraska! A otwórz tam drzwi.

— Właśni, mówi Baranowicz. A dzież lokaj?

— Lokaja już ni ma. Raptem podziękował za służby. Mówi, ży ktoś u niego zachorował na wsi, czy coś. Mnie si zdai, że on kłami, ali jednym słowym już jego ni ma.

A tu przychodzi ta sama Paraska i mówi, ży przyszedł poličjant.

— Masz tobi! mówi Kazio. To moży ja pójdy do niego i rozpytam si, czego jemu trzeba?

Ali ten poličjant gwałtu, ży on musi konieczni widzić nas wszystkich. Włazi szelma do salonu i mówi:

— Wasz lokaj doniósł nam na was, ży wy tutaj urządzaci jakiś polski rewolučji i chceci oderwać prowinčji od Rośji, to ja muszy napisać protokół.

Nu i jaż tobi powim, ili my z tym mieli zamoroki, to niech ręka Boska uchowa! Ciągali nas po różnych ucząstkach, dopytywali, mordowali, ledwo ledwo do ciumry nie posadzili. A te dwadzieścia pięć rubli, co ja ich wygrałem na loterii, to przyszło si oddać ich policmajstrowi w formi łapówki. Nu i ty moży myślisz sobi, że ja żałui, ży si w to wszystko wplątałem? Ani trochi. Pieniądzy i tak rozeszliby si bo ja z nimi nie umiem obchodzić si, oni nie trzymajo si mnie, a za to dowiedziałem si na pewno, ży na świeci jest ne tylko materia, ali także duch. Nu ot tylko jedno, ży z tym moim pradziadem to wyszło jakiś czortwico. Bo jakiż on starzec, jak on umarł trzydziestu lat wieku, a i to więcyj przez tego konia...

Jurij Kosacz

Wiosna Żytomierska

Korosteń wpośród drzew rozkręcał się, jak wstęga,
gdzieś na szynach zgrzytała pancerka zajadła,
i na Kijów, na Kijów ciągnęły w zaprzęgach
zerdzewiałe armaty, zapadając w mokradła.

Gimnazista nad juzem wystukiwał śpiesznie rozkazy:
front północy, atak — kreskami na taśmie wyrastał,
i w ogrodzie przy gmachu starego gimnazjum
hajdamacy wierzchowce kierowali na Lubar i Chwastów.

I jak ongiś wędzidła gryzły ich konie spienione,
słysząc surmę donośną i że wiosna wokół się pali,
i czarniawy chorąży podnosił się w krótkich strzemionach,
szlaków przyszłego Imperium wyglądając w błękitnej oddali.

A za nimi ławą ciągnęły bosej gwardii drużyny
chłopów z Łuszny lesistej, ze Sławuty, Olewska,
i jak dziki jeżyły bagnetów stalową szczecinę,
kiedy witał ich wódz, uśmiechnięty ataman Hruszewśkyj.

A u wodza, jak sztandar uniesiony nad wojskiem wesołym,
siwa broda się chwiała, uniesiona zawieją wichrzastą,
i jak mądry czarownik wysyła bojowe sokoły,
tak on pieśni — kurencie z mocnej dłoni wypuszczał za miasto.

Uciekaliśmy z domu, jak niespokojne pisklęta,
pod kulami na bruku wałęsać się długo i szastać —
i, zdawało się, kiedy pocisk przelatywał i pękał,
że to stary Żytomierz minionym wspomnieniem wyrasta.

W ślad wojska za rzekę na most biegliśmy — młodzi i starzy —
samochody jechały, niejeden błotem w nas bryznął,
i już bratu starszemu krew się sączyła po twarzy,
krew gorąca i młoda, najpierwsza krew za ojczyznę.

Ciche pola wołyńskie rozrastały się nam, niby prerie,
i już chcieliśmy biec, gdzie cudowne, nieznane przygody.
— Weźcie z sobą i nas! — błagaliśmy sotnie i śpiewne baterie...
...czegoś zechciał, dzieciaku! karabinu nie dźwigniesz, za miasto.

Hen, na szosie, za rzeką, gdzie się szereg wierzbowy rozwijał,
wracaliśmy, oddział ostatni wzrokiem prowadząc żałośnie,
a szosą waliło na Kijów, na Kijów, na Kijów
i do wtóru armatom i sercom huczało szalone przedwiośnie.

Przełożył *Józef Łobodowski*

VARIA

Z prasy polskiej

„Punkt Archimedesa problemu polsko - ukraińskiego". „Naród i Państwo" (25.VII.) zamieszcza pod takim tytułem art. pióra Feliksa Królikowskiego.

„Półtora roku temu, w pierwszym numerze naszego pisma pisaliśmy, że treścią stosunków polsko - ukraińskich „nie może i nie powinna być ugoda polsko - ukraińska; ugoda bowiem jest stosunkiem dwóch stron, a państwo wszak nie może być stroną w stosunku do tej czy innej grupy obywateli, bo — jak słusznie głosi nasza konstytucja — państwo jest „wspólnym dobrem wszystkich obywateli". Treścią natomiast tego stosunku powinno być: ze strony Ukraińców — pozytywny stosunek do państwa polskiego jako takiego, bez żadnej reservatio mentalis; ze strony rządu zaś jako dzierżyciela władzy państwowej, właściwa polityka narodowościowa, respektująca rzeczywiste potrzeby obywateli Ukraińców".

Zwracaliśmy przy tym uwagę na rolę społeczeństwa polskiego na ziemiach narodowościowo mieszanych, polsko-ukraińskich.

Do powyższych słów — po półtorarocznym okresie t.zw. normalizacji stosunków polsko - ukraińskich — nie potrzebujemy dodać ani ująć nawet przecinka. Przeciwnie, okres ten, okres nowych doświadczeń, utwierdza nas w przekonaniu, że wychodziliśmy ze słusznych założeń. Zdajemy sobie bowiem wprawdzie sprawę, że warunki polityczne obecnie różnią się od warunków, jakich byliśmy świadkami w końcu 1935 r. i na początku 1936 r., a mimo to z całym naciskiem podkreślamy, że właściwa polityka narodowościowa, respektująca rzeczywiste potrzeby obywateli Ukraińców, a mająca na oku coraz mocniejsze wiązanie pięciomilionowej ludności ukraińskiej z państwowością polską jest bezwzględnym i niezmiennym nakazem naszej racji stanu.

Powtarzamy: mimo, że obiektywne warunki polityczne się zmieniły. Stwierdzamy to z najgłębszą troską o przyszłość stosunków polsko - ukraińskich.

Faktem jest mianowicie z jednej strony, że pod wpływem iredentystycznych elementów ukraińskich (jak się zdaje Ouenowskich) na niektórych terenach ziemi czerwieńskiej od dziewięciu niemal miesięcy jesteśmy świadkami akcji terrorystycznej, skierowanej przeciwko miejscowej ludności polskiej, która ma słuszne powody domagać się energicznie od państwa zastosowania wszelkich środków (mamy na myśli oczywiście tylko legalne) niezbędnych dla przywrócenia stanu bezpieczeństwa; z drugiej zaś strony konstatujemy fakt, że wśród kierowniczych kół ukraińskich, które stanęły na gruncie polityki „normalizacyjnej", budzić się ostatnio zaczęły refleksje na temat własnego stanowiska".

Ostatnie uchwały Konferencji UNDO autor uważa za signum temporis.

„I to wystarczyć powinno dla stwierdzenia, że wbrew agitacyjnym podszeptom niektórych partyjnych organów prasowych polityka rządu ani na jotę nie może zbaczać z drogi, którą określiliśmy jako właściwą politykę narodowościową. Byliśmy zdecydowanymi przeciwnikami polityki „ugody" właśnie dlatego, aby móc konsekwentnie stać na stanowisku, że rząd musi prowadzić politykę na naszym południowym wschodzie nie w sensie spełnienia koncesji politycznych, lecz z punktu widzenia trzeźwo ocenianej racji stanu: niezależnie od tego, czy to się komukolwiek podoba, czy też nie. Właściwa polityka państwowa wobec ludności ukraińskiej musi być realizowana, bo tego wymaga interes państwa.

Tak, jak jednocześnie ten sam interes państwa wymaga, ażeby szereg palących i uzasadnionych potrzeb społeczeństwa polskiego ziemi czerwieńskiej był jak najszybciej i w najszerszej mierze zaspokojony".

Tyle „Naród i Państwo". Pozostaje jednak do rozwiązania kwestia nakreślenia konkretnego planu załatwienia potrzeb ukraińskich, jak również sprecyzowania wreszcie, jakie mianowicie wymagania kresowego społeczeństwa polskiego uważać należy za „uzasadnione".

„Punkt Archimedesa" i „reserwatio mentalis". „Głos Polski" (1.VIII.), omawiając art. F. Królikowskiego, pisze:

„Konstrukcja tez p. Królikowskiego opiera się w gruncie rzeczy na ich współzależności, co jednak zdaje się uchodzić uwagi autora, przyjmującego pierwszą tezę za pewnik. Ukraińcy mają być lojalni bez zastrzeżeń, a państwo spełniać ma ich potrzeby. Jest więc pytanie, czy na wypadek stwierdzenia, że lojalność Ukraińców jest pełna zastrzeżeń, czy i w tym wypadku państwo spełniać ma ich potrzeby, czy pomimo tego ma im dostarczać kredytów z banków państwowych na rozwój ich życia gospodarczego, stanowiącego swój odrębny system, czy ma powiększać kadry nauczycielstwa ukraińskiego, sędziów i urzędników itd. itd., co wszystko może tylko być bardzo poważnym posiłkowaniem odśrodkowych dążności ukraińskich.

Rozumiemy bardzo dobrze, że na podejrzliwość w czyjąś lojalność nie ma rady. I dlatego pytamy się tylko, czy ukr. reprezentacja parlamentarna i przedstawiciele organizacyj partyjnych zadeklarowali gdziekolwiek i kiedykolwiek oświadczyli, że chcą być lojalni wobec państwa polskiego bez zastrzeżeń i bezterminowo.

Przytoczone w aktualnym artykule uchwały z 3 lipca br. już w pierwszym ustępie uzależniają swoją wolę uregulowania stosunków polsko - ukraińskich od spełnienia szeregu postulatów minimalnych, dodając jeszcze słowo „na razie". Czy to nazwać można pozytywnym stosunkiem obywatela do państwa „sine reservatio mentalis". Pytamy się dalej, czy możemy uznać deklarację za zadawalającą, gdzie ziemie południowo - wschodnie nazwane są nawet nie polsko - ukraińskimi, ale wprost „etnograficznymi ziemiami ukraińskimi"? Czy możemy uznać deklarację jako zadowalającą, gdzie wyrażone jest żądanie, by nie dopuścić obywateli Polaków z zachodu do korzystania z parcelacji polskiej ziemi na wschodzie?

Czy byłoby do pomyślenia żądanie ze strony polskiej, by obywatel Ukrainiec nie mógł nabywać ziemi z parcelacji na zachodzie? Po co to udawać naiwnego: Ukraińcy pragną utrzymać większość liczebną, jako podstawę ich nadziei, że zbudują tu kiedyś niepodległą Ukrainę. Tego właśnie Polacy nie chcą.

Obawiamy się, że artykuły w rodzaju „Punkt Archimedesa problemu polsko - ukraińskiego" bynajmniej nie przyczynią się do uregulowania problemu polsko - ukraińskiego. O wiele łatwiej cel ten osiągniemy, gdy kwestię stawiać będziemy jasno i otwarcie. Jeżeli się mamy kiedykolwiek dogadać z obywatelami Ukraińcami, to nie inaczej, jak tylko drogą rozmowy „bez reservatio mentalis". Obie strony znają się za dobrze, by jedna drugą mogła tak, czy inaczej wystylizowanymi zdaniami wprowadzić w błąd.

W każdym bądź razie wprowadzenie przez autora do tytułu omawianego artykułu Archimedesa, twórcy swastyki, konstruktora niezawodnych przyrządów, zabitego przypadkowo, czy celowo przez żołnierza, słabą jest rekompensatą za całkowicie nieudałą konstrukcję tez do problemu polsko-ukraińskiego".

Różnice w pojmowaniu normalizacji. „Dziennik Polski" (Nr. 195) w art. „Normalizacyjne nieporozumienia", pisze:

„Postawienie tezy „normalnego współżycia" otwiera dla obu stron drogę do nowych nieporozumień, nowych rozczarowań i zadrażnień.

Każda strona „normalność stosunków" rozumie na swój sposób. Dla „Ukraińca" normalnym będzie taki stan, w którym zrealizowane będą wszystkie jego postulaty narodowe, na razie w granicach Państwa Polskiego. Nieodzownym atrybutem w ten sposób pojętej normalizacji, będzie jak najdalej posunięte ograniczenie żywiołu polskiego, tworzenie kadr własnej siły, żądanie autonomii terytorialnej — w ogóle realizacja tych wszystkich przejawów życia narodowego, których ostatecznym ukoronowaniem może być już tylko niezależne państwo. Tą drogą istotnie dojdzie się do zgodnego współżycia, ale przez akt rezygnacji żywiołu polskiego ze swych uprawnień i dążeń narodowych.

Dla Polaka normalizacja, to zrezygnowanie „Ukraińców" z ich ambicji niepodległościowych, uznanie Państwa Polskiego za państwo własne i wyciągnięcie z tego założenia wszystkich konsekwencji.

W tym stanie rzeczy, jak one rzeczywiście wyglądają na terenie województw południowo - wschodnich, gra na normalizację musi być albo chytrością albo naiwnością. Może wszystko byłoby w porządku, gdyby obie strony były równie chytre lub równie naiwne, gorzej jest natomiast, gdy jedna ze stron jest chytra, a druga naiwna. Po krótkim okresie rzekomo zgodnego współżycia, w którym to czasie naiwni zbierają solidne cięgi, a chytrzy doszli do przekonania, że za mało byli chytrymi, następuje okres rozczarowań, zjawiają się nowe groźne napięcia. Naiwni chcą i muszą odrobić straty, jeżeli nie chcą naprawdę zostać „znormalizowanymi" — chytrzy przez nowe gniewy i groźby kombinują na nową, tym razem już ultranormalizację.

Rzeczywistość jasno wykazuje, że „Ukraińcy" normalizację pojęli jako okazję do stworzenia z województw południowo-wschodnich ukraińskiego Piemontu".

„Niebezpieczeństwo" ukraińskie. Pod tym tytułem ukazał się w „Polityce" (dawniej: „Bunt Młodych") artykuł p. *Włodzimierza Kubijowicza*, będący odpowiedzią na słynny już referat prof. *Romera*, wygłoszony we Lwowie dnia 21.II. 1937, który ukazał się obecnie w postaci broszury (Eugeniusz Romer: Polski stan posiadania na Południowym Wschodzie. Lwów 1937. Str. 64). Tezy powyższego referatu, jak wiadomo, były podstawą znanych rezolucji uchwalonych przez przedstawicieli prawie setki towarzystw i organizacji polskich, działających w trzech województwach płd.-wsch.

P. Kubijowicz zaczyna swój artykuł od ogólnej charakterystyki broszury prof. Romera:

„Autor porusza w swej pracy szereg problemów ujętych w 62 rozdzialikach. Broszura pisana jest żywo, z charakterystycznym dla autora temperamentem, z licznymi statystycznymi cytatami, które są bądź punktem wyjścia dla stawiania pewnych tez, bądź też ilustracją do twierdzeń autora. Oto główne grupy problemów poruszonych: szereg problemów demograficznych, sprawa szkolnictwa na terenie Lwowskiego Kuratorium, problemy kościelne, sprawa reformy rolnej, kwestia ukraińskiego spółdzielczego ruchu. Statystyczny materiał, którym posługuje się autor, pochodzi częściowo z oficjalnych urzędowych publikacyj (demografia, szkolnictwo, ruch spółdzielczy), częściowo z innych niepublikowanych i bliżej nieokreślonych źródeł (głównie zmiany stanu posiadania ziemią i nieruchomościami)".

Autor artykułu poddaje szczegółowej analizie demograficzne i szkolne problemy, ponieważ, w przeciwieństwie do innych zagadnień, poruszanych w broszurze prof. Romera, opierają się one na opublikowanych i powszechnie dostępnych źródłach statystycznych. Prof. Romer przyznaje, że wyniki spisu z roku 1931 podają fakty pocieszające dla polskości, ale wśród nich spostrzegamy też niepomyślne, a mianowicie: „ruszczenie" miast. „Od dziesiątek lat w miastach cofa się żywioł żydowski, a miejsce jego zajmuje element ruski, przy czym autor operuje nie statystyką zmian stanu posiadania „Rusinów", ale gr.-kat., widocznie utożsamiając te pojęcia. Dla poparcia swej tezy o „ruszczeniu" miast, autor przytacza zmiany odsetku gr.-katolików w kilku wybranych przez siebie miastach" (Przemyśl, Jarosław, Sambor, Stanisławów, Stryj). Inaczej jednak przedstawia się sprawa, gdy weźmiemy pod uwagę *wszystkie* miasta, co właśnie czyni p. Kubijowicz, dając poniższą statystykę procentowego składu wyznaniowego ludności miejskiej b. Wschodniej Galicji:

	rz. kat.	gr.kat.	mojżesz.
1900	32,2	26,6	40,0
1910	34,8	26,4	37,9
1921	38,1	24,7	36,2
1931	39,7	25,1	34,0

P. Kubijowicz stwierdza:

„Przytoczone cyfry świadczą, że kosztem Żydów zwiększał się odsetek tak rz.-kat., jak i gr.-kat. Za 10-lecie 1921—1931 zmalał odsetek Żydów o 6.1%, natomiast kosztem ich przyrósł odsetek rz.-kat. o *4.2%*, a gr.-kat. tylko *o 1.6%*. Zatem nieprawdziwą jest teza autora o „ruszczeniu miast" i o tym, że miejsce Żydów zajmują w odrodzonej Polsce gr.-kat.".

W rozdziale pt. „Dewaluacja polskiego imienia", prof. Romer widzi ową dewaluację w tym, że z chwilą przyłączenia Lwowa do Polski osłabła tam przedwojenna atrakcja imienia polskiego:

„Oto na 100 greko - katolików przyznało się do języka polskiego w r. *1880: 65*, *1890: 58*, *1900: 49*, *1910: 45*, a w polskich latach spisowych spadła ta liczba do nawet poniżej *30%!* Nie byłoby w tym procesie nic dziwnego: wszak gr.-kat. — Polacy, to spolonizowani Ukraińcy, a w miarę rozwoju w świetle ideologii narodowych polonizacja Ukraińców powinna iść z trudem. Ale wyjaśnienie tego raptownego zmniejszenia gr.-kat. — Polaków za czasów polskich jest inne, a całkiem proste: oto po wojnie polsko-ukraińskiej gr.-kat. — Polacy dla pewności przeszli masowo na obrządek rz.-kat. (w r. 1910 było we Lwowie 19% gr.-kat., w r. 1921 tylko 13.1%), a więc skąd mają się wziąć rzesze gr.-kat. — Polaków? Jest rzeczą powszechnie znaną, że przejście z obozu ukraińskiego do polskiego zaznacza się obecnie zmianą obrządku".

Prof. Romer obszernie omawia *zagadnienia szkolnictwa* na terenie Kuratorium Lwowskiego:

„Autor dostrzega tutaj dwie fazy: *w pierwszej trwającej do 1925 r.* liczba szkół polskich wzrosła bez równoczesnego zmniejszenia liczby szkół ukraińskich, *w drugiej fazie* powstałej jako następstwo ustawy językowej sejmu z r. 1924, ma cyfra szkół polskich ulegać gwałtownemu obniżeniu, tak że autor mówi o likwidacji polskiego szkolnictwa. O tej „likwidacji" pisze się dużo, a jeszcze więcej uchwala się rezulucji. Jak wygląda ona w świetle faktów? Do czasu wprowadzenia w życie ustawy z 1924 r. istniały — za czasów Austrii i Polski — dwie kategorie szkół: jedne z polskim, drugie z ukraińskim językiem wykładowym. Przed wojną uczono w poważnej ilości szkół również drugiego języka krajowego, ale w małej ilości godzin, jak języka obcego, po wojnie wprowadzono obowiązkowo do szkół z językiem ukraińskim wykładowym naukę języka polskiego, a prócz tego uczy się w polskim języku kilku przedmiotów (historia i geografia Polski, nauka o Polsce Współczesnej). Na skutek reformy z 1924 r. wprowadzono trzecią grupę szkół, gdzie językiem wykładowym mają być oba języki krajowe: polski i ukraiński, czyli tzw. szkoły utrakwistyczne. Oto liczba szkół powszechnych z językiem wykładowym na terenie Lwowskiego Kuratorium:

	1911/12	1924/25	1930/31
polski	1.511	2.598	2.663
ukraiński	2.418	2.176	135
polski i ukraiński	—	9	1.919.

Oto kilka przykładów metod „statystycznych" i „naukowych" prof. Romera, przy pomocy których pragnie on ułatwić montowanie frontu antyukraińskiego w Galicji Wsch. Nic więc dziwnego, że p. Kubijowicz poczuł się zmuszony zakończyć recenzję swoją tymi oto słowami:

„Przeprowadziłem analizę dwu pierwszych grup problemów z książki prof. Romera i... wstrzymuję się osobiście od swych uwag o naukowej, czy choćby publicystycznej wartości zawartych w nich argumentów. Ale te przekręcone i nieprawidłowe fakty są przeważnie przyjmowane bezkrytycznie przez szeroką publiczność polską. Jeżeli zniekształcona jest rzeczywistość widoczna z urzędowych źródeł, cóż dopiero mówić o owych setkach tysięcy hektarów ziemi, które miały wedle autora przejść z rąk polskich do ukraińskich na terenie płd.-wsch. województw. (mit o 220.000 ha!), bo te cyfry opierają się tylko na... wersjach. Jaką wartość te wersje posiadają?"

Przegląd prasy ukraińskiej

Wartość informacyj posła Żyborskiego. Głośna dziś już w całej Polsce interpelacja sejmowa posła Żyborskiego, dotycząca rzekomej antypolskiej odezwy UNDO, na terenie ukraińskim wywołała duże poruszenie. Wszystkie odpowiedzialne czynniki ukraińskie stwierdziły, że odezwa przytoczona przez pos. Żyborskiego jest mistyfikacją.

„Diło" z dn. 30.VII. b.r. zamieszcza w tej sprawie list otwarty b. posła UNDO, adwokata A. Jaworskiego. Pisze on co następuje:

„Z „Diła" z dn. 25.VII. 37 r. z artykułu p.t. „Mistyfikacja czy prowokacja" dowiedziałem się o dokładnej treści interpelacji posła Żyborskiego w sprawie aktów sabotażu w Podhajecczyźnie. W imię prawdy stwierdzam, że w ciągu ostatnich miesięcy, głównie zaś w 1937 r., nie było na terenie Podhajec żadnych aktów teroru wobec ludności polskiej, jak również żadnych przejawów agresywności ze strony Ukraińców wobec Polaków. Stwierdzam, że powiat podhajecki należy obecnie do najspokojniejszych powiatów. *Podane w interpelacji fakty usunięcia herbu państwowego, czy też zniszczenia portretu marsz. Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego w szkołach w Mużyłowie i Justynówce w ostatnich miesiącach b.r. jest zwykłym wymysłem.* (Podkreślenie autora — Red.). Podobne fakty miały miejsce jeszcze w 1934 roku, a prowadzone przeciwko kilku Ukraińców dochodzenie zostało umorzone.

Prawdą jest, że we wsi Dryszczów zabito w miesiącu czerwcu b.r. komendanta strzelców, Borysławskiego, jednakże to zabójstwo nie ma charakteru politycznego, a sam zabity przed śmiercią wskazał na dwóch Polaków, jako sprawców tej zbrodni. Prawdą również jest, że w gromadzie Stadnica zabito polskiego kolonistę Jana Tomasika, jednak jako podejrzanych o ten mord aresztowano kilku chłopców z powiatu brzeżańskiego, lecz nie z podhajeckiego. Zresztą, w tej sprawie prowadzi się dochodzenie i dziwi mnie, że p. Żyborski przesądza wynik śledztwa i nadaje sprawie charakter polityczny wówczas, gdy zabójstwa Tomasika dokonano (jak to widać po poszlakach) raczej w celach rabunkowych. A mianowicie: Tomasik sprzedał był swoje pole i posiadał w domu większą gotówkę, której wydania domagali się mordercy. Oprócz tego, dochodzenie dotąd nie jest zakończone.

Pan Żyborski wyszedł na posła ze wspólnej listy, prócz tego był dotąd mężem zaufania miejscowego obozu prorządowego. Dlatego nie mogę zrozumieć nielojalności p. Żyborskiego już nie tylko wobec wyborców ukraińskich, ale i wobec p. starosty podhajeckiego, z którym p. Żyborski zasiada w wydziale powiatowym i którego pośrednio obciąża swoją interpelacją, jako administracyjnego szefa takiego rzekomo niespokojnego i warcholskiego powiatu.

Gdyby bowiem p. Żyborski nawet i otrzymał od pewnych szowinistycznych kół polskiego społeczeństwa nieprawdziwe informacje o aktach teroru bojówek ukraińskich, to mógłby lekko te fakty skontrolować w starostwie podhajeckim i przekonać się, że nie odpowiadają one prawdzie. Tymczasem p. Żyborski domaga się od Prezesa Rady Ministrów represyj wobec tych ukraińskich polityków, którzy właśnie nakazali ludności ukraińskiej Podhajecczyzny głosować na p. Żyborskiego, nie zważając na niepopularność tej kandydatury. I członkowie społeczeństwa ukraińskiego wykazali lojalność wobec tego nakazu kierownictwa politycznego. P. Żyborski obecnie wykazał swoją nielojalność zarówno wobec Ukraińców, jak i wobec własnych rodaków, których w zwykły sposób obgaduje. Jeszcze raz stwierdzam, że fakty podane przez p. Żyborskiego w jego interpelacji w sprawie aktów sabotażu w Podhajecczyźnie są nieprawdziwe. Nie wiem, jaki cel p. Żyborski chciał osiągnąć swoją interpelacją, ale sądzę, że interpelacja ta nie przysporzy mu popularności wśród wyborców polskich, ukraińskim zaś wyborcom odkryła ona prawdziwe polityczne oblicze polskiego posła z Podhajecczyzny".

Defetyzm, dezorganizacja i odwrót od polityki. Z dalszych głosów na temat normalizacji, znamiennym jest *głos przywódcy Ukraińskich socjalnych demokratów, dra Wł. Starosolskiego.* „Diło", rozpisując ankietę w zasadzie wśród członków U. N. D. O., zwróciło się też do kilku osób z innych grup politycznych. Dr Starosolski zastrzega się, że pytania „Diła" zawierają b. dużo treści i trudno je ująć zwięźle, bez szerszego umotywowania, wykraczają bowiem one poza granice taktyki i sięgają do zakresu ideologii. Autor stwierdza, że gdy jest mowa obecnie o ukraińskiej „narodowo-politycznej taktyce, którą zastosowano przed dwoma laty", to należy mieć na uwadze jedynie taktykę partii U. N. D. O. Skutkiem tej polityki U. N. D. O. jest ogólny impas zagadnienia ukraińskiego. Na terenie polityki zagranicznej wyraziło się to „oddaniem wszystkich pozycyj wobec Ligi Narodów, mniejszościowych organizacyj międzynarodowych, itd.".

„Na terenie Rzeczypospolitej Polskiej nie wysunięto ze „zmianą taktyki" żadnego postulatu, który by posiadał cha-

rakter polityczny. Te postulaty, które wysunięto i spełnienie kórych w przyszłości lansowano, jako sukces, jako zmianę kursu polityki rządu wobec Ukraińców — nie były w żadnym wypadku i być nie mogły uznane za istotnie polityczne postulaty „realnej" czy „ugodowej" polityki (tylko bowiem z takiego stanowiska można rozpatrywać sprawę). Zarówno sprawa terminologii narodowej jak i sprawa Narodnego Domu nie mogły być przedmiotem rozmów politycznych w związku ze zmianą „taktyki narodowo-politycznej".

Naturalnym skutkiem takiego stawiania sprawy przez U. N. D. O. było pomnieszenie wartości zagadnienia ukraińskiego w Polsce, „degradacja tego zagadnienia, jako wielkiego i poważnego problematu politycznego. Dla polskiej strony problem ukraiński przestał istnieć".

Wzmocniła się, jak twierdzi autor, akcja ukrainofilska w społeczeństwie polskim. Sprzyjała temu walka wewnątrz polskich grup politycznych, gdyż sama nazwa „normalizacja" stała się agitacyjnym środkiem walki przeciwko rządowi. Polska strona stała się wobec tego mniej ustępliwa dla Ukraińców, niż było to do okresu normalizacyjnego.

Nie sama „normalizacja" wpłynęła na układ wewnętrznego życia ukraińskiego, jak chce tego „Diło", lecz zmiana taktyki politycznej U. N. D. O. Wywołała ta zmiana defetyzm, dezorientację i odwrót od polityki.

Dalsza dyskusja normalizacyjna. Do ciekawszych głosów na temat normalizacji stosunków polsko-ukraińskich należy *dwugłos księży gr.-katolickich.* Na łamach „Diła" (1.VIII) ukazały się jednocześnie odpowiedzi dwu b. posłów ukraińskich: sędziwego ks. Stefana Onyszkiewicza b. członka parlamentu austriackiego, oraz ks. Juliana Tatomyra b. senatora Rzeczypospolitej.

Pierwszy autor uważa „normalizację" za zjawisko konieczne. Lecz Polacy nie są przyzwyczajeni długo iść jedną drogą. Z odejściem min. M. Kościałkowskiego, który zawarł porozumienie z U. N. D. O., kurs się załamał. Zwycięża pogląd, że Ukraińców można traktować „regionalnie"; nie tylko dzielnicowo, lecz nawet różnie w różnych powiatach. Normalizacja nie poczyniła Ukraińcom dużych szkód. Opozycjoniści U. N. D. O. nie wskazują dróg wyjścia. Ukraińska parlamentarna reprezentacja musiałaby wyraźniej zaakcentować nastroje społeczeństwa, które jest bardzo niezadowolone z rezultatów normalizacji. Społeczeństwo powinno wykazać więcej aktywności.

B. senator ks. J. Tatomyr jest bardziej ostry w swej ocenie. Zmiana taktyki z przed 2 lat zaskoczyła autora. Nie wolno negować historii stuleci, mówiąc o normalizacji. Trzeba było wpierw się upewnić, czy po stronie polskiej zaszły istotnie zmiany na lepsze w odniesieniu do Ukraińców.

„Oczywiście byłoby bez sensu w zasadzie i z góry przeciwstawiać się normalizacji".

„Kurs normalizacji" był przeprowadzony po stronie ukraińskiej, z polskiej bowiem strony nic w tym kierunku nie zrobiono. I przez to pogorszył on, zamiast poprawić, stosunki polsko-ukraińskie, bo druga strona przestała nas poważnie traktować, zaczęła nas lekceważyć, a co za tym idzie, wzmocnił się antyukraiński kurs praktycznej polityki wobec nas".

Polityka normalizacyjna, przeciągana w „nieskończoność" „zrodziła w społeczeństwie rozgoryczenie do kierownictwa i wywołała apatię w życiu organizacyjnym. Gdy już się nic nie zdobywa, to należy chociażby zachować część narodu, jego dostojeństwo!"

Reprezentacja Parlamentarna U. N. D. O., zdaniem ks. Tatomyra, popeniła cały szereg błędów.

„Rozpoczynając je niezrozumiałym dla przeciętnego członka społeczeństwa oświadczeniem na arenie międzynarodowej" (autor ma na myśli pewno oświadczenie dra L. Makaruszki na Kongresie mniejszości narodowych przed 2 laty).

„Taktykę kierownictwa (U. N. D. O. — Red.) charakteryzowała gorączkowość, niezrównoważenie. Był to pochód do Kanossy, nie wiadomo za jaką winę, bo społeczeństwo i poprzednie kierownictwo grzechów nie miały".

„Kierownictwo zaangażowało się więcej, niż to odpowiadało jego godności i to wtedy jeszcze, gdy niczego nie zdobyło i nie otrzymało. To był grzech taktyczny nie do wybaczenia".

„Dwie bomby". „Ukrainśkyj Beskyd" (29.VII) pod powyższym tytułem pisze:

„Na ideologię konsolidacji płk. Koca zrobiono nieudany zamach bombowy. Z tego powodu w całym polskim społeczeństwie nastąpiło naprężenie, które mogłoby doprowadzić do jeszcze większego rozbicia, niż to było przed konsolidacją. I oto pan poseł Żyborski wynalazł czy sam sfabrykował inną „bombę", w postaci „niesłychanej odezwy".

Wyciągnął ten poseł na światło dzienne, za pomocą swej interpelacji, inne „niebezpieczeństwo", „niebezpieczeństwo ukraińskie".

Postulaty Wołyńskiego Ukraińskiego Objednannia. W zasadniczym artykule pt. „Polityka narodowościowa w Rzeczypospolitej" „Wołyńskie Słowo" formułuje postulaty Wołyńskiego Ukraińskiego Objednannia, które motywuje w następujący sposób:

Polityka narodowościowa w odrodzonej Rzeczypospolitej wyraźnie zawróciła w kierunku odbudowy „państwa narodowego" — jednego państwa z jednym narodem, gdzie inne grupy etniczne musiały całkowicie zlać się z panującą ludnością polską. Ta polityka jest obecnie przeprowadzana konsekwentnie we wszystkich dziedzinach życia państwowego, zwłaszcza na odcinku szkolnym, gdzie znalazła swe ukoronowanie w znanej ustawie Stanisława Grabskiego.

Tak było przed przewrotem majowym. Przewrót majowy wciągnął do władzy ludzi o innej psychice i o innym intelekcie. Ci, którzy prowadzili walkę w imię wyzwolenia własnego narodu, nie mogli być grabarzami innych narodów; zresztą ich ambicja była znacznie szersza niż „ograniczanie się wyłącznie do spraw polskich", jak słusznie pisze „Zaczyn" (Nr. 29). Zrozumieli oni, że przez metodę jedynego państwa z jedynym narodem nie zdobędą wielkomocarstwowej Rzeczypospolitej. Ale polityka narodowościowa była jedynym zagadnieniem, które pozostało w spadku po rządach narodowych. Powstało zagadnienie znacznie szersze: zmiany całego ustroju państwowego, a wraz z nim zmiany tej umysłowości „narodowej", która była obcą polskiemu myśleniu o tyle, że wydanie jej walki bezkompromisowej uważał za swe główne zadanie Józef Piłsudski. Minęły jednak lata, a podczas przebudowy ustroju państwowego zabrakło tego największego autorytetu, jakim żyła Rzeczpospolita. Powstały nowe trudności wewnętrzne, które doprowadziły polskie życie społeczne do dekompozycji. Odżyła z nową siłą mentalność polska, wychowana w idei narodowej. Ci, których usunął w cień przewrót majowy, wyszli na światło dzienne. I znowu zabłysło hasło jedynego mocarstwa z jedynym narodem. Natarcie poszło w dwu kierunkach: przeciwko reżymowi i przeciwko mniejszościom narodowym. Ale i jedno i drugie otworzyło wielu oczy na rzeczywistość polityczną: i czynnikom kierującym i społeczeństwu polskiemu. Pismo biada nad orgią kurierkową, która mobilizuje najczarniejszy szowinizm, nad trucizną, która jest gangreną całego życia społecznego, i nad tym, że sprawą ukraińską zajmują się nie czynniki państwowe, lecz „narodowi amatorzy"... Polityka narodowościowa jest niezaprzeczonym obowiązkiem i przywilejem rządu i Izb Ustawodawczych, gdyż jest ona przewodnim „zagadnieniem wielkości i wielkomocarstwowości Polski, a nie sprawą takich czy innych konkurencji domowych" (cytat z „Zaczynu").

Przechodząc do ustalenia własnego stanowiska, „Wołyńskie Słowo" podkreśla, że już wiele razy podnosiło konieczność

przyjęcia przez rząd w sprawie ukraińskiej linii generalnej. Rząd musi sam się zdobyć na rozwiązanie sprawy ukraińskiej. Próby rozwiązania tej sprawy w zasięgu kompetencji przedstawicieli władz miejscowych i społeczeństwa ukraińskiego wywołały opór ze strony narodowej demokracji, tak aktywnej, że doprowadził on do znanego procesu Stronnictwa Narodowego w Łucku przeciwko tygodnikowi „Wołyń". Dalej pismo omawia konferencję Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej Wołynia z faktycznym kierownikiem Min. Spraw Wewnętrznych p. Paciorkowskim, który zaznaczył, że „pomimo tych czy innych czynników nieprzychylnych dla społeczeństwa ukraińskiego, które w ostatnich czasach występowały na terenie miejscowym, polityka normalnego współżycia i współpracy ludności polskiej i ukraińskiej, realizowana na Wołyniu, pozostaje bez zmiany; są niezaprzeczone dowody, że ten kierunek polityki daje korzyści zarówno całemu państwu, jak i ludności ukraińskiej, która je zamieszkuje". Zarazem min. Paciorkowski podkreślił, że cały kompleks spraw wołyńskich, które czekają na rozwiązanie, załatwiony będzie przez władze miejscowe za całkowitą aprobatą Rządu.

Z kolei „Wołyńskie Słowo" formułuje postulaty Ukraińców Wołynia:

1) W związku z zakończeniem prac Komisji Mieszanej dla zwołania Soboru Prowincjonalnego Cerkwi Prawosławnej uważamy za konieczne jak najrychlejszą realizację tej sprawy po myśli Dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z roku 1930. Jednocześnie podkreślamy nasze życzenie usunięcia wszystkich sztucznych przeszkód w procesie derusyfikacji Cerkwi Prawosławnej, który odbywa się na Wołyniu na drodze organicznej i leży w interesie zarówno prawosławnych władz cerkiewnych (zbliżenie ich do najszerszych wierzących mas ludowych), jak i Państwa (psychiczna równowaga ludności, jako najlepszy czynnik zdolności obronnej kraju) i ludności (usunięcie idei obcych z jej światopoglądu duchowego).

2) Stan spółdzielczości ukraińskiej na Wołyniu bez względu na jej podział między kilka związków rewizyjnych jest gospodarczo tak skomplikowany, że sprawą najpilniejszą staje się natychmiastowe jego uporządkowanie. Jedyne rozwiązanie widzimy w stworzeniu Wołyńskiego Związku Rewizyjnego, jako centrum ideowego pracy spółdzielczej.

3) Jak najszybsze uregulowanie sprawy szkolnej w ogólności, a zwłaszcza poparcie ukraińskiego szkolnictwa prywatnego i umożliwienie jego rozwoju.

4) Wszechstronne zatrudnienie ukraińskiej inteligencji pracującej i bezrobotnych Ukraińców w ogólności we wszystkich państwowych, samorządowych i prywatnych instytucjach na Wołyniu. Szczególnie pilną jest potrzeba obsadzania przez Ukraińców urzędów gminnych ze względu na ich bezpośrednią bliskość z ludnością, co leży przede wszystkim w interesie polityki państwowej i zwiększenia obronności naszego kraju.

5) Pomoc materialna ze strony Skarbu Państwa dla ukraińskich organizacji społecznych, które prowadzą pracę kulturalno-oświatową zarówno w mieście, jak i na wsi.

(WU).

Ze świata i z kraju

SAMOLIKWIDACJA CENTRUM HETMAŃCZYKÓW.

W ostatnim czasie w warszawskich kołach ukraińskich wywołał sensację przyjazd z Berlina do Warszawy znanego ukraińskiego działacza Al. Skoropysa - Jołtuchowskiego. B. członek „Sojuzu Wyzwolenia Ukrainy" z okresu wojny światowej, następnie komisarz i minister pełnomocny Ukrainy dla terenów okupowanych przez Niemcy i Austrię w Brześciu nad Bugiem, wreszcie ambasador Ukrainy w Berlinie, p. Skoropys - Jołtuchowski, w ciągu długich lat był jednym z najbardziej aktywnych działaczów ukraińskiego obozu monarchistycznego, t.zw. „hetmańczyków". Al. Skoropys - Jołtuchowski był jednym z założycieli „Związku Ukraińskich Chliborobów - Państwowców" — stronnictwa, które wysunęło i popierało b. hetmana Pawła Skoropadskiego.

W pewnych kołach przypuszczano, że wizyta p. Skoropysa-Jołtuchowskiego do Polski nie jest przypadkowa. Okazuje się teraz, że przypuszczenia te się sprawdziły. Monarchiści ukraińscy odbyli ważną naradę organizacyjną, w rezultacie której ukazał się w prasie ukraińskiej następujący komunikat.

„Rada przysięgłych Ukraińskiego Związku Chliborobów - Państwowców podaje do wiadomości społeczeństwa, że na posiedzeniu odbytym dnia 16.VII. uchwalono Związek rozwiązać, gdyż w obecnych warunkach organizacja ta nie może sumiennie wykonywać dobrowolnie przyjętych na siebie obowiązków wobec rodzinnej Ziemi Ukraińskiej, wobec Narodu Ukraińskiego i Państwa Ukraińskiego".

Komunikat ten podpisali: J. Melnyk, Al. Skoropys - Jołtuchowski, L. Siedlecki, hr. Montrezor, E. Tomaszewski.

KONGRES FARMERÓW UKRAIŃSKICH W KANADZIE.

W końcu czerwca b.r. odbył się w Manitobie kongres farmerów ukraińskich Kanady z udziałem 3000 delegatów. Kongres ten zorganizowało T-wo „Bractwo Ukraińców - Katolików" w Kanadzie. Oddziały nowopowstającej organizacji ukraińskiej organizują się w bardzo szybkim tempie, przybierając spontaniczny charakter. Prasa ukraińsko - kanadyjska poświęca organizacji tej wiele uwagi, a prasa angielska podkreśla fakt szybkiej organizacji „trzeciej narodowości" Kanady, za jaką uważa Ukraińców kanadyjskich po Anglosasach i Francuzach.

WARUNKI PRENUMERATY: W kraju: rocznie zł. 8, półrocznie zł. 4.50, kwartalnie zł. 2.50, miesięcznie zł. 1. **Zagranicą:** rocznie zł. 16, półrocznie zł. 9, kwartalnie zł. 5, miesięcznie zł. 2. Cena numeru pojedyńczego 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, ul. Nowy Świat 66 m. 13. Telefon 234-60. Konto P.K.O. 26.842.

Redaktor: WŁODZIMIERZ BĄCZKOWSKI.
Wydawca: Z ramienia Stow. Polsko-Ukraińskiego — KONSTANTY SYMONOLEWICZ, jnr.

NALEŻNOŚĆ POCZTOWA UISZCZONA GOTÓWKĄ. *Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.*